

FELIX, NET i NIKA

oraz Nadprogramowe Historie

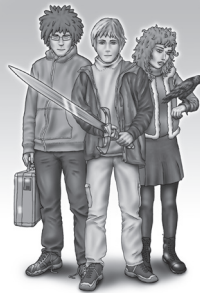
Dotychczas w serii ukazały się:

1. Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi
2. Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa
3. Felix, Net i Nika oraz Pałac Snów
4. Felix, Net i Nika oraz Pułapka Nieśmiertelności
5. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek
6. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek 2. Mała Armia
7. Felix, Net i Nika oraz Trzecia Kuzynka
8. Felix, Net i Nika oraz Bunt Maszyn
9. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero
10. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero 2. Alternauci
11. Felix, Net i Nika oraz Nadprogramowe Historie
12. Felix, Net i Nika oraz Sekret Czerwonej Hańczy
13. Felix, Net i Nika oraz Klątwa Domu McKillianów
14. Felix, Net i Nika oraz (nie)Bezpieczne Dorastanie
15. Felix, Net i Nika oraz Koniec Świata Jaki Znamy

Rafał Kosik

FELIX, NET i NIKA

oraz Nadprogramowe Historie



Ilustracje autora



powergraph

Warszawa 2021

Copyright © 2005–2021 by Rafał Kosik
Copyright © 2005–2021 by Powergraph
Copyright © 2005–2021 for the cover and illustrations by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Wydanie ósme

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-35-9

Druk: READ ME
Printed in Poland, EU

dla Jasia



Tajemnica Kredokrada

Był ciepły, słoneczny poranek, ale ponury gmach szkoły imienia Stefana Kuszmińskiego sprawiał wrażenie szarej góry lodowej, którą ktoś przypadkiem umieścił w środku Warszawy.

Felix Polon uniósł głowę i spojrzał na stare mury odcinające się od błękitnego nieba. Inni uczniowie omijali go i wchodzili po schodach, kierując się do wielkich drzwi. Musieli unosić rękę, by sięgnąć do klamki.

Obok Felixa stanął wysoki, chudy chłopak w okularach i w czerwonej bluzie z kapturem.

— Lubię klasowy z matmy o poranku. — Wciągnął nosem powietrze.

— Łatwo ci mówić, stary — odparł Felix, ściskając dłoń Neta. — Rozwiążesz te zadania, zanim inni je przeczytają.

Felix był niższy od Neta o pół głowy. Miał też jasne, w miarę porządnie zaczesane włosy, podczas gdy Net wyglądał, jakby czesał się przy użyciu ładunków wybuchowych. Niedbały wygląd

mógł mylić – Net miał wrodzone zdolności matematyczne, toteż dzisiejsza klasówka była dla niego formalnością.

Zza rogu wyszła ruda dziewczyna w dzinsowej bluzie, spodniczce do kolan i ciężkich, czarnych Martensach. Pomachała do chłopców i poprawiła dłonią niesforne loczki długich włosów.

— Elo, mała! — zawołał Net, gdy się zbliżyła.

— Elo, wielki! — Uśmiechnęła się do niego. — Jedyńy radośny człowiek w klasie. Ten, który dziwnym trafem ewolucji wykształcił kalkulator zamiast mózgu.

Pocałowała przyjaciół na przywitanie w policzek.

— Będę pisał wyraźnie i dużymi literami — oznajmił łaskawie Net. — Dużymi cyframi, dokładniej.

— Dzięki, nie trzeba. — Nika uniosła nieco głowę. — Nauczyłam się.

— Jak tam sobie chcesz. — Net wzruszył ramionami.

— Chyba nie będzie żadnej klasówki. — Felix wskazał głową pierwsze piętro. Net i Nika spojrzeli w górę. Z okien pracowni chemicznej, znajdującej się bezpośrednio nad wejściem, wydobywał się dym.

— Łał! — ucieszył się Net. — Zaraz przyjedzie straż i mamy resztę lekcji z dyńki. Zobaczmy, co się dzieje!

— Czekaj! — krzyknęła za nim Nika, ale chłopak już biegł w stronę wejścia. Dziewczyna spojrzała na Felixa i oboje ruszyli za nim.

W chłodnym hallu nie było czuć dymu. Nie dostrzegli żadnej paniki, nikt nie próbował uciekać. Zapewne większość nawet nie wiedziała o pożarze.

Nagle rozległ się tupot od strony sekretariatu.

— Z drogi! — krzyczał pan Antoni Czwartek, fizyk. Minał w pędzie Felixa, Neta i Nikę i pobiegł w kierunku schodów, z gaśnicą w ręku. Za nim gonił niski i pulchny dyrektor

Stokrotka z czajnikiem elektrycznym. Na widok gaśnicy część uczniów dyskretnie skierowała się do wyjścia.

— Myślicie, że ktoś podpalił szkołę, żeby nie pisać klasówki?
— zapytała Nika.

— Myślę nie o pożarze, tylko o trujących oparach z palących się odczynników — odparł jak zwykle ostrożny Felix.

— Szkoda, że pożar nie wybuchł później — westchnął Net. — To jedyna klasówka, którą lubię pisać.

— Chodźcie, zobaczymy, co się stało. — Felix ruszył w stronę schodów, ale na półpiętrze pojawił się właśnie dyrektor Stokrotka i starł pot z czoła i łysiny.

— Już po panice — oznajmił tym, którzy byli dość blisko, by go usłyszeć. — Panuję nad sytuacją. To tylko kosz na śmieci. Pożar absolutnie lokalny. Zawołajcie, z łaski swojej, tych, którzy czekają na zewnątrz.

Net uśmiechnął się, za to Nika nie wyglądała na szczęśliwą.

— Może trzeba komuś powiedzieć o tych oparach — powiedziała bez przekonania.

— Wyczuwam w tonie twojego głosu, że się trochę cykasz tej matmy — zauważył Net. — Nie martw się. I tak ci pomogę.

Uśmiechnęła się do niego i zamrugła zalotnie długimi rzęsami. Weszli na piętro do sali matematycznej. Panowało w niej spore zamieszanie. Wszyscy nerwowo próbowali zapamiętać wzory, sprawdzali umiejscowienie ściąg lub dopiero je przygotowywali. Aurelia, czarnowłosa klasowa piękność, zwykle ubierała się bardzo modnie. Dziś jednak założyła strój, którego główną cechą była duża liczba kieszeni. Z kilku wystawały podejrzane kawałki papieru. Celina, pulchna i sympatyczna, próbowała pisać coś na swojej dłoni, ale wychodziły z tego straszne bohomazy. Lambert przygotował długą ściągę, którą nawinał na dwa ołówki, jak taśmę w kasecie magnetofonowej.

Niestety, sprężysty pasek papieru spadał co chwila z jednego z ołówków i strzelał w powietrze, jak sylwestrowa serpentyna. Oskar pospiesznie wklepywał wzory do smartfona.

Felix usiadł pod oknem i wyjął z plecaka rulon przezroczystej folii, pokrytej drobnymi, czarnymi napisami. Rozwinął ją i przyłożył do szyby. Wyrównał i docisnął. Oceniał z uznaniem swoje dzieło. Z bliska dawało się wszystko przeczytać, a już z dwóch metrów szyba wyglądała na zwyczajnie brudną.

— Na wszelki wypadek — mruknął usprawiedliwiająco, widząc minę Niki. — Niby to umiem, ale może mi się przydarzyć nagły atak sklerozy.

— Stary! — Net z uznaniem przyjrzał się dziełu przyjaciela. — Ty nawet ściągę robisz z użyciem technologii kosmicznych.

— Zobaczcie. — Nika wskazała róg sali. Obok drzwi stał kosz na śmieci, a na ścianie ponad nim widać było czarne smugi. — To jakaś plaga...

Nagle w sali zapanowała cisza.

— Dzień dobry — powiedziała od progu matematyczka, Cecylia Bąk, zwana popularnie Ekierką. Miała pięćdziesiąt lat i sporą nadwagę, którą próbowała bez powodzenia ukryć pod luźnymi strojami.

— Siadajcie, proszę. — Matematyczka otworzyła dziennik. — Możecie wyjąć ściągę z kieszeni. Możecie położyć je na ławce i z nich korzystać. Dozwolone są kalkulatory, podręczniki, zeszyty. Wolno robić wszystko, z wyjątkiem spisywania od sąsiadów. Nie mam siły was pilnować. Przygotowałam za to trudniejsze zadania.

W sali ponownie zapanowało zamieszanie. Powoli, z niedowierzaniem ściągę zaczęły łądować na blatach.

— Imponujące — mruknęła matematyczka, obrzucając ławki zaskoczonym spojrzeniem. Wzięła do ręki kartkę z zadaniami

i podeszła do tablicy. Automatycznie sięgnęła do rynienki na kredę, ale jej palce trafiły w gładki plastik.

— Nie ma kredy — oznajmiła zdziwionym głosem. — Wczoraj na ostatniej lekcji było jej sporo... Net, czy mógłbyś przynieść trochę kredy z portierni?

Net niechętnie wstał i zajrzał do rynienki.

— Jakby wylizana — przyznał z fascynacją, ale umilkł na widok zniesmaczonej miny matematyczki. Wyszedł szybko z sali.

Zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. Net wrócił po trzech minutach i oznajmił:

— Wszędzie skończyła się kreda. W sąsiednich salach też nie ma. Ekierka spochmurniała. Rozejrzała się nerwowo po sali.

— Wobec tego podyktuję wam zadania.

— Nie, nie może pani nam tego dyktować, bo coś na pewno się nam pokręci — zaprotestował z ostatniej ławki Lucjan, najwyższy chłopak z całej klasy. Pomruki przytakiwania dobiegły ze wszystkich stron. Ekierka rozbieganym wzrokiem omiotła salę, spojrzała w kartkę z zadaniami, wypuściła powietrze i znów się rozejrzała.

— I nie będziemy wiedzieć, gdzie są nawiasy — skrzywiła się Klaudia, nakręcając na palec blond lok.

Lucjan uniósł dłoń.

— Tak...? — w głosie Ekierki słychać było rozpaczliwą nadzieję.

— Mogę iść po kredę do sklepu.

— Doskonały pomysł! Tylko na jednej nodze!

Przez salę przeszło westchnienie ulgi. Chłopak spojrzał na kolegów porozumiewawczo i wyszedł. Ekierka usiadła za biurkiem i nerwowo zaczęła przeglądać dziennik.

Lucjan wrócił trzy minuty przed dzwonkiem.

— W sklepie nie ma kredy — oznajmił.

— I stwierdzenie tego zajęło ci tyle czasu? — zdziwiła się Ekierka.

— Na początku kreda była, ale z każdej klasy ktoś po nią przyszedł. Powstała kolejka, a ja jestem bardzo uprzejmy, więc niestety wylądowałem na samym końcu.

— Ty – uprzejmy? — Matematyczka popatrzyła na niego ponuro. — Trudno. Siadaj. Ręcznie wypiszę na kartkach zadania dla wszystkich.

W tym momencie rozległ się dzwonek i z kilkunastu gardeł wydobył się triumfalny ryk.

* * *

W sali biologicznej jak zwykle panował lekki mrok, za co odpowiedzialne były drewniane żaluzje w oknach. Palilo się za to kilka lamp halogenowych, oświetlających przeszklone regały i gablotki pełne egzotycznych roślin i zwierząt. Niektóre były wypchane, ale sporą część ekspozycji stanowiły żywe okazy, zamknięte w klatkach, akwariach i terrariach. Największe akwarium, które od początku roku szkolnego stało puste, teraz było wypełnione wodą. Pływały w niej malutkie, białe robaczki. Na pierwszy rzut oka można je było wziąć za paprochy – miały nie więcej niż kilka milimetrów długości. W tej robaczkowej zawieszynie, na kamieniu siedział ślimak ze spiralną, trochę nieforemną skorupą wielkości rękawicy bokserskiej. Również był biały i sprawiał wyjątkowo odpychające wrażenie, choć trudno było powiedzieć, co dokładnie je powodowało.

Dziewczyny, zazwyczaj ciężko przeżywające lekcje biologii, usiadły jak najdalej od nowego „potwora”.

— Wygląda jak zdechły Pokemon — ocenił Net.

Z zaplecza wyszedł profesor Butler, zupełnie ignorując obecność uczniów. Był chudy i niepozorny, miał ponad czterdzieści lat. Jego poplamiony fartuch jakiś czas temu pewnie był biały. Rzadkie, siwe włosy były nieco za długie i nieco za tłuste. Zwisły smutno z głowy, jakby na zapleczu padał deszcz. Oldskulowe okulary w rogowych oprawkach dopełniały obrazu szalonego naukowca. Butler sprawiał wrażenie kogoś, kogo w najmniejszym stopniu nie obchodzi, czy na jego lekcji jest cała klasa, czy tylko jedna osoba.

Podszedł do tablicy, sięgnął do rynienki po kredę, by stwierdzić, że rynienka jest pusta. Zajrzał do niej i chwilę mamrotał coś niewyraźnie pod nosem.

— Temat dzisiejszej lekcji — odezwał się głośniej, odwracając się i stając za wielkim biurkiem — „*Drosophila melanogaster*: Skąd się bierze i dlaczego jest tak upierdliwa”. Czy ktoś ma kanapkę z dżemem?

Uczniowie patrzyli na niego bez ruchu. Nigdy nie było wiadomo, czy Butler mówi poważnie, czy żartuje. Zazwyczaj, po chwili zastanowienia, gdy wszyscy byli już pewni, że żartuje, okazywało się jednak, że mówi serio.

— Klemens! — Nauczyciel wskazał tęgiego chłopaka, siedzącego w ławce z Celiną. — Wyglądasz na takiego, który ma kanapkę z dżemem.

Klemens niechętnie sięgnął do plecaka i wyjął spore pudełko śniadaniowe. Podał profesorowi zawiniętą w papier kanapkę. Butler rozwinął papier, otworzył kanapkę i długopisem zgarnął dżem do stojącego na biurku słoika. Zlizął z długopisu resztkę dżemu i zamknął kanapkę z zamiarem oddania jej właścicielowi.

— Nie, nie trzeba. — Klemens zamachał rozpaczliwie rękoma. — Mam jeszcze kilka.

— OK — powiedział nauczyciel i wgrzył się w kanapkę. — *Drosophila melanogaster* — kontynuował z pełnymi ustami — czyli muszka owocowa. Muszka w tajemniczy sposób materializuje się niemal natychmiast, gdy w pomieszczeniu znajdzie się otwarty słoik z dżemem. Mogą być też owoce, ale moim zdaniem słoik z dżemem jest lepszy. Teraz wystarczy poczekać.

Zamilkł i zajął się przeglądaniem jednego ze swoich zeszytów z notatkami, pogryzając przy tym co chwila kanapkę.

Po kwadransie zamknął zeszyt i oznajmił:

— Proszę bardzo, są trzy osobniki. — Zerknął na zegarek. — Niezły czas dotarcia.

— Miały blisko — szepnął Net. — Pewnie wyleciały mu z kieszeni.

— Teraz składają jaja — relacjonował profesor, pochylając się nad słoikiem. Czy ktoś chce zobaczyć z bliska?

— Jak to? — ocknęła się Klaudia. — Wystarczy zostawić otwarty słoik i one... złożą tam jaja? A my potem to zjemy?

— Oczywiście, ale jaja są tak małe, że nie czujecie ich smaku. To nie kawior. No, chyba że zaczekacie dwa tygodnie, aż wyklują się larwy. Wtedy smak rzeczywiście się zmieni.

Klaudia skrzywiła się, a wraz z nią większa część klasy.

— Trzeba się pogodzić z rzeczywistością — ciągnął profesor. — Dziewięćdziesiąt procent biosfery Ziemi, na przykład, stanowią jednokomórkowce. Nie da się nie zjeść żadnego z nich przez całe życie. Ile ważysz? — Spojrzał na Klaudię.

— Czterdzieści kilogramów... — zaczerwieniła się lekko. — Coś koło tego.

— No to jakieś cztery kilogramy z tego, to bakterie — oznajmił i odwrócił się do tablicy.

Klaudia zbladła i popatrzyła po sobie.

— Zrzucę te cztery kilo — postanowiła.

— Całkiem spore organizmy też nieraz zdarzyło ci się niechęć zjeść — zapewnił ją profesor. — Kiedy ostatnio jadłaś parówki?

Klaudia zzieleniała. Butler sięgnął po kredę, ale trafił palcami w pustą rynienkę.

— Nie ma kredy, więc o zwyczajach muszki owocowej wam opowiem — powiedział i zaczął opisywać szczegółowo cykle jej życia z detalami, które odebrały apetyt absolutnie wszystkim. Przerwał mu dopiero dzwonek.

— Za dwa tygodnie następna część historii – „*Drosophila melanogaster*: Narodziny”. — Zakrył słoik ściereczką i owinał recepturką. — A na następnej lekcji przyjrzymy się bliżej pijawkom.

Uczniowie nie tyle wyszli z sali biologicznej, ile się z niej ewakuowali. Zostali tylko Felix, Net i Nika.

— Panie profesorze — zapytał Net — co będzie dziś na zajęciach dodatkowych?

Profesor skinął ręką i podszedł do wielkiego akwarium. Przyjaciele na wszelki wypadek zatrzymali się dwa metry od ruchomej zawiesziny z białych robaczków.

— Zajęcia macie z botaniki progresywnej — powiedział Butler. — To są co prawda zwierzęta, a nie rośliny, ale przyda mi się wasza pomoc. Dostałem je na przechowanie od znajomego. Nie wie, jaki to gatunek. — Potarł brodę. — Ja też nie wiem. To mięczaki. Prawdopodobnie.

— A ten ślimak? — zapytała Nika, marszcząc nosek.

— No właśnie. Wczoraj go jeszcze nie było. Nie wiem, jakim cudem się tu dostał. Może siedział za kamieniem i powoli rósł? Nie mam pojęcia, do jakiego gatunku należy... Nie będę go wyciągał. Oba gatunki chyba sobie wzajemnie nie przeszkadzają.

— Będziemy się nimi dziś zajmować? — zapytała zaniepokojona Nika.

— Nie wiem, czym je karmić. — Butler rozłożył ręce. — Próbowałem wszystkiego, nawet salcesonu i hamburgerów. O zwykłej karmie dla rybek nie wspomnę.

— Znajomy będzie zły, jak jego ulubieńcy zdechną z głodu — domyślił się Felix.

* * *

— Nie mam najmniejszej ochoty sprawdzać, co jedzą te obrzydlistwa — stanowczo oświadczyła Nika podczas długiej przerwy. Polerowała chusteczką swoje czarne Martensy. — Normalni ludzie, jak wyjeżdżają na kilka dni, podrzucają znajomym kota albo psa. A botanicy progresywni – pięćset litrów zawiesiny z robaków.

Przyjaciele siedzieli w swojej Kwaterze Głównej na strychu szkoły. Kwatera Główna była rodzajem tajemnej kryjówki, klubu dla wtajemniczonych, gdzie mogli spokojnie rozmawiać. Urządzili ją na początku roku szkolnego w przytulnym i przestronnym pomieszczeniu, które wydawało się być od dawna przez wszystkich zapomniane. Spadzisty dach z dwóch stron schodził niemal do podłogi, gdzie umieszczone były małe półokrągłe okienka. Było tu sporo gratów, jakieś stare przyrządy do fizyki, kilka wyliniałych wypchanych zwierząt oraz meble: szafy i regały, które czasy swojej świetności dawno miały za sobą. Na środku stały trzy krzywe fotele i niski stolik, podparty z jednej strony na ceglach.

— I może jeszcze powiesz — odezwał się Net — że wybrałaś zajęcia dodatkowe u Butlera, bo ja i Felix się tam zapisaliśmy?

— A co? Miałam iść na kurs szydełkowania?

— Butler nie jest taki zły...

— Jest obrzydliwym obleśniakiem... ale i tak trochę go lubię.
— Nie musisz go dotykać. — Net wzruszył ramionami. —
Przyznaj, że niektóre stworzone przez niego gatunki były niezłe.
Motylinki albo te kwiatki, które rosły we włosach. No i klasz-
czące stokrotki.

— Ujemna choinka też była niezła — dodał Felix. — I radio-cis.

— Cis miał kiepską jakość dźwięku — machnął ręką Net.

— W końcu to drzewo iglaste.

— A wymiotują? — zapytała Nika. Zebrała rude loki i spięła
je z tyłu głowy spinką z zielonym oczkiem. — Trudno chyba
o coś bardziej obrzydliwego.

— No, było po niej trochę sprzętania — przyznał Net.

— Dobra... — Nika westchnęła. — Pomożemy mu. Chyba
że w międzyczasie wybuchnie trzynasty pożar kosza na śmieci
i spłonie cała buda.

— Zobaczcie! — Net wskazał jedną z półek. Leżały na niej
trzy zakurzone kredy.

— Leży tu od trzydziestu lat — ocenił Felix. — Albo i dłużej.

— OK. — Net wziął je, zdmuchnął kurz i schował do kieszeni.

— Jak trafi się jakaś ciekawa lekcja, to w nagrodę dam
nauczycielowi.

* * *

Na ostatniej godzinie były zajęcia dodatkowe z botaniki pro-
gresywnej, które Felix, Net i Nika wybrali jako jedyni. Na stole
sali biologicznej stało kilkanaście ponumerowanych menzurek,
wypełnionych wodą do jednej trzeciej wysokości. Przed nimi
leżał wytłuszczony zeszyt, otwarty na stronie z narysowaną dłu-
gopisem tabelką.

— Nie będziemy się dziś zajmować roślinami — zakomunikował Butler, jakby nie pamiętał ich rozmowy sprzed paru godzin. — Zajmiemy się robaczkami.

— Przygotowaliśmy się psychicznie — oświadczył Net.

Nika skarciła go wzrokiem, ale Butler w ogóle nie przejął się tą uwagą. Przyjaciele podeszli do akwarium. Od lekcji biologii ślimak przepętlł na sąsiedni kamień, ale wciąż wyglądał jak kupka zepsutego białego sera. Był za to wyraźnie większy.

— Jak to możliwe, że on tak urósł przez kilka godzin? — zastanowił się Felix. — Może to inny?

— Dziś zajmiemy się tylko tymi maleństwami — oświadczył Butler i zniknął na zapleczu, skąd zaczęły dochodzić odgłosy przesuwanych przedmiotów. Przyjaciele odwrócili się i spojrzeli na menzurki na wielkim stole, który służył również za biurko profesora.

— Czy one się tak zachowywały wcześniej? — Nika wskazała akwarium.

Z lewej strony, gdzie stali Net i Felix, gromadziło się coraz więcej białych robaczek. Przylepiały pyszczki do szkła i machały ogonkami, próbując pokonać niewidzialną przeszkodę.

— Gapią się na nas — zaniepokoił się Net. — *Dżizas!* Teraz na pewno mi się przyśnią.

Felix przeszedł na prawą stronę akwarium, ale robaczki nie ruszyły się z miejsca.

— Nie chodzi o nas — powiedział Felix. — Może płyną do światła?

Net również przeszedł na prawą stronę. Robaczki powoli przepłynęły w ślad za nim.

— O mamusiuboska! — Zbladł. — Nocny koszmar mrowiany.

Felix patrzył to na robaczki, to na przyjaciela.

— Czerwona bluza — ocenił wreszcie. — Reagują na kolory.

Net ściągnął bluzę, powiesił na krześle i przesunął je do przeciwnej strony akwarium. Cała masa robaczków podążyła za bluzą.

— No to trochę mi ulżyło... — przyznał z ulgą Net i zapytał konspiracyjnym szeptem — myślicie, że on już próbował je karmić tłuszczem ze swoich włosów?

Nika wywróciła oczami.

Butler wrócił z zapleczka ze sporą szklaną kolbą. Zanurzył ją w akwarium, nabierając wodę wraz z robaczkami. Potem podszedł do stołu i nalał po trochu do każdej menzurki. Robaczki wyglądały na dezorientowane nowym otoczeniem.

— Sprawdźmy, co wam przyszło do głowy — powiedział nauczyciel. Sięgnął po długopis i zaczął coś mrużyć pod nosem, poprawiając tabelkę w zeszycie.

Przyjaciele spojrzeli po sobie i zaczęli przetrząsać plecaki. Nika wyciągnęła zawiniętą w folię kanapkę.

— Chleb, masło, żółty ser i papryka — wyliczyła, po czym dodała jeszcze — okruszki czekolady.

Butler wpisał odpowiednie nazwy do pierwszych pięciu rubryk w zeszycie, a dziewczyna nożem odkroiła po kawałku każdego składnika i wrzuciła do kolejnych menzurek. Robaczki podplęły do próbek pożywienia i obwąchały je nieufnie. Te, które dotknęły czekolady, po chwili znieruchomiały i opadły na dno.

— Zamordowałaś je — stwierdził z uznaniem Net. — Ale i tak wszystkie wylądują w kanalizacji.

— Nie można wypuścić nieznanego gatunku do ścieków — zauważył Felix.

— Nie można — przyznał Butler, wpisując wyniki do zeszytu. Przy pozycji „czekolada” narysował trupa czaszkę i dwa skrzyżowane piszczele. — Musimy dbać o resztki ekosystemu Wisły.

Następnie przetestowali kilkadziesiąt produktów spożywczych, i nie tylko spożywczych. Bez skutku. W kilku kolbach, w których wylądował cukier albo jakikolwiek inny słodycz, robaczki poniosły śmierć.

— Poświęciły życie dla dobra społeczeństwa — podsumował Net.

Butler patrzył ponurym wzrokiem na ostatnią niesprawdzoną menzurkę. Nikt nie miał pomysłu, czym jeszcze można uraczyć wybredne zwierzątka.

Rozległ się dzwonek. Przyjaciele westchnęli i zaczęli się pakować.

— Mam tu jeszcze starego tic taca. — Net wygrzebał spomiędzy kawałków kredy małą pastylkę i obejrzał ją z niesmakiem. — Nie jest pierwszej świeżości, ale im to pewnie nie robi.

— Zabijesz je — powiedziała Nika.

— I tak umrą z głodu — odparł i wrzucił pastylkę do wody.

Robaczki rzuciły się na tic taca, jak piranie na surowy kotlet schabowy. Oskubały go z wierzchniej skorupki i wyraźnie się ożywiły.

— Sztuczny słodzik — ocenił Felix. — To dlatego tamte zdychały. Nie znoszą prawdziwego cukru.

Pożegnali się z nauczycielem i wyszli. Gdy byli już w hallu, pan Brudnica, niski i przygarbiony portier, postawił na ladzie pudło kredy. Stojąca obok sprzątaczką, pani Pumpernikiel, spojrzała na to niechętnie.

— Roznieść to mamy po salach? — zapytała.

— Taka praca — odparł pan Brudnica. — Te małe potwory, zwane nie wiedzieć czemu dziećmi, znów wszystko ukradły.

— Co za życie. A dziś rano znów korytarze były ześwinione, jakby klejem wszystko wysmarowali.

— Nic nie poradzimy, szanowna pani. Chodźmy. Ja obskoczę trzecie piętro, a pani pierwsze i drugie.

— Dlaczego ja więcej?

— Jeden i dwa w sumie daje trzy, więc mamy po równo. Ja mam za to więcej wchodzenia, a boli mnie noga.

Pani Pumpernikiel westchnęła.

— Dobrze, zrobię panu na rękę. Jestem przy nadziei, że tym razem nie ukradną całej kredy.

— A to złośliwiec i krętacz — oburzyła się Nika. — Jedną czwartą trzeciego piętra zajmuje sala gimnastyczna. Tam nawet nie ma tablicy.

Felix i Net nic nie odpowiedzieli. Było powszechnie wiadome, że pan Brudnica to wredny krętacz.

* * *

Następnego dnia pierwszą lekcją była geografia. Przyjaciele weszli do sali geograficznej sporo przed dzwonkiem. W powietrzu unosił się podejrzany zapach spalenizny, a ściana nad koszem była osmalona.

— Zobaczcie — zawołał Net. — Znów nie ma kredy.

Przyjaciele stanęli przed tablicą. Rynienka była nie tylko pusta, ale i tak jak przedtem – wyczyszczona z białego kredowego nalotu.

— To zaczyna być naprawdę interesujące — mruknął Felix.

Net wyjął z kieszeni kawałek znalezionej na strychu kredy, ale się zawahał.

— Nie — pokręcił głową i schował kredę do kieszeni. — Wolę ją przeznaczyć na fizykę.

— Net!

Przyjaciele drgnęli i odwrócili się. W drzwiach stała geograficzka, pani Konstancja Konstantynopolska. Net wolno wyjął rękę z kieszeni i zrobił głupią minę.

— A więc zagadka rozwiązana — powiedziała nauczycielka, patrząc na nich zza zmrużonych powiek, jakby to były szczyliny strzelnicze. Była elegancką kobietą, w starym stylu. Miała prawie sześćdziesiąt lat, siwe włosy i była chuda, a wręcz zaszuszona. Wyglądała jak drapieźnik, z tym dyskretnym wyrazem satysfakcji na twarzy.

Wyciągnęła przed siebie rękę, a Net z ociąganiem położył na niej trzy kawałki kredy.

— To nie jest tak, jak pani myśli... — próbowała wyjaśnić Nika, ale geograficzka przerwała jej uniesioną dłoń.

— Powiedzcie mi, co to jest?! — Dramatycznym gestem uniosła swoją torebkę i przełożyła palec przez wygryzioną z boku dziurę. — Spuściłam tę torebkę z oczu ledwie na kilka minut.

— To jest dziura — odparła cicho Nika.

— Nieciągłość powierzchni... — dodał Net.

— Miejskowy brak poszycia zewnętrznego — dorzucił Felix.

— A to było w środku! — Nauczycielka pokazała pustą, metalową tulejkę.

Wszyscy wiedzieli, że pani Konstancja, nie chcąc brudzić sobie palców, używa własnej kredy, umocowanej w metalowej, wykęcanej obudowie, przypominającej konstrukcją szminkę. Wyglądało na to, że ktoś dobrał się i do tej kredy.

— W tej chwili idziemy do dyrektora! — rozkazała nauczycielka i odwróciła się na pięcie.

Przyjaciele spojrzeli po sobie z przerażeniem i ruszyli za nią, w oparach jej perfum, które podobno sama komponowała. Gdy tylko weszli do sekretariatu, pani Helenka, sekretarka dyrektora, obrzuciła ich zmęczonym spojrzeniem, jakby chciała